

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

PETERSBURSZCZANIN.

APETYT NA GALICYĘ.

Nacyonalizm rosyjski tryumfuje. Protektorat nad Mongolią już się zarysował wyraźnie. Wyprawa do Persyi, zaprowadza tam ustrój iście rosyjski, z wieszaniem wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa miejscowego, z ćwiczeniem redaktorów pism... Cieszy się kanalia czarnosecinna, rozpierająca się w pseudoparlamencie wszechrosyjskim, po kancelaryach i redakcyach. Bobryńscy, Eulogiusze, Suworynowie i Mienszykowy rosną w dumę, zapominając pomału o strasznej klęsce poniesionej w wojnie japońskiej. Zaciera się zwolna poczucie słabości militarnej państwa, ujawnionej tak jasno pod Mukdenem i Cuszymą. Rośnie apetyt na nowe zdobycze. A jedną z najpierwszych w fantazyi nacyonalisty rosyjskiego ma być, — musi być — Galicya.

Kto przegląda uważnie prasę rosyjską — od skrajnie czarnosecinnej aż do umiarkowanie liberalnej, ten nie może nie spostrzedz, jaką popularnością cieszy się obecnie myśl odebrania Austryi Galicyi. Nietylko „Nowoje Wremia" przystosowujące się do prądów, panujących w sferach kierowniczych Rosyi, ale i cały szereg innych pism rosyjskich wprowadził już specyalną rubrykę „galickija dieła" (sprawy galicyjskie), wypełniając ją agitacyjnymi artykułami, wzmiankami i telegramami o prześladowaniu Rosyan i prawosławnych w tym odwiecznie rosyjskim kraju.

Agitacya ta przesącza się do serc i umysłów rosyjskich, budząc w nich gorące pragnienie położenia kresu panowania „obcoplemieńców" nad „ujarzmionymi Rosyanami", których Austrya i Polacy przy pomocy „mazepińców" chcą przerobić na coś odrębnego od reszty Rosyan. Stąd rosnąca popularność kierunku antyaustryackiego, stąd owe pobrzękiwanie szablami, którego echo daje się słyszeć w artykułach dziennika Suworyna i Mienszykowa. Kierunek, wrogi Austryi, tembardziej jest popularny, że odpowiada w zupełności tradycyjnym poglądom ogółu rosyjskiego na zadania Rosyi wobec "braci zakordonowych".

Ruś — Mała, Biała, Czerwona, Chełmska, Węgierska — a Rosya — to jedno. Jest to przekonanie najgłębsze całej intelligencyi rosyjskiej. Przekonanie to zostało wpojone w ogół rosyjski przez szkołę i publicystykę, opierającą się na bardzo dogodnej dla caratu koncepcyi historycznej, utrzymującej, że Ruś moskiewska jest bezpośrednią spadkobierczynią Rusi kijowskiej. Koncepcya ta została stworzona przez obcych uczonych ukraińskich, którzy w w. XVIII-ym przenieśli się z Ki-

jowa do Moskwy i tam rozwijali piśmiennictwo „słowiano-rosyjskie". Utarła się ona tak, że dziś stanowi poprostu aksyomat przekonań politycznych inteligencyi rosyjskiej, nie wyłączając jej skrzydła radykalnego.

Mówić Rosyaninowi, że Ukraińcy stanowią coś zupełnie odrębnego, samodzielnego, znaczy narażać się na śmieszność. Rosyanin liberalny gotów jest przyznać, że szkoła ludowa może się posługiwać językiem ukraińskim, jako narzędziem pomocniczem, że może istnieć popularna prasa ukraińska, że wreszcie dusza ukraińska może wypowiadać swe tęsknoty i pragnienia w poezyi ukraińskiej, jak to czynił Szewczenko, przyjęty do panteonu „ogólnorosyjskiej" literatury. Ale wytwarzanie samodzielnej narodowości ukraińskiej, z samodzielną kulturą inteligencką, ogarniającą całokształt potrzeb umysłowych Ukrainy nie może się pomieścić w głowie najbardziej nawet liberalnego inteligenta rosyjskiego. To też Rosyanin liberał, radykał, czy nawet socyalny demokrata będą ostro występować przeciwko uciskowi żywiołu ukraińskiego i wszystkim zarządzeniom antyukraińskim władz, uważając te środki represyjne za barbarzyństwo. Jednakże zwalczają je nie dla ułatwienia Ukrainie swobodnego rozwoju, lecz jedynie ze względów humanitarnych, albo politycznych, uznając je za szkodliwe dla samej Rosyi.

Postępowcy rosyjscy wszelkiego autoramentu są przekonani, że usunięcie środków represyjnych, stosowanych do Ukraińców, usunie jednocześnie wszelki ich separatyzm i szybko zespoli ich w jedną całość z resztą „Rosyan". Wszakżeż jednemu z najszlachetniejszych przedstawicieli liberalizmu rosyjskiego — Rodiczewowi — wyrwały się w Dumie słowa: „Należy pozwolić Ukraińcom na zakładanie szkół z ukraińskim językiem wykładowym, aby się sami przekonali, co to za niedorzeczność". Wydawca postępowego a wpływowego miesięcznika moskiewskiego „Russkaja Myśl" — Piotr Struwe — otwarcie wypowiada się przeciwko samodzielnemu rozwojowi kultury ukraińskiej, jako całkiem zbytecznej wobec istnienia wielkiej „ogólnorosyjskiej", gdyż ta pierwsza żąda od ostatniej przyznania jej prawa dążenia do autonomii Ukrainy.

Ten stosunek postępu rosyjskiego do kwestyi samodzielności ukraińskiej odbija się poniekąd i na traktowaniu przez postępowców rosyjskich ruchu moskalofilskiego w Galicyi. Treść tego ruchu t. j. dążność do zespolenia Rusi z Rosyą w jedną całość, przynajmniej kulturalną, jest dla nich bezwarunkowo sympatyczna. Ale forma reakcyjna, czarnosecinna moskalofilstwa galicyjskiego budzi w nich wstręt zrozumiały. To też i Dudykiewiczowcy i „umiarkowani" moskalofile, protegowani przez całą prasę nacyonalistyczną, nie mają oczywiście łaski u postępowców, zwłaszcza, że ci są informowani co do spraw galicyjskich, albo przez Ukraińców, albo przez Polaków. Jednakże w ostatnich czasach, pod wpływem obudzenia się apetytu na Galicyę w szerokich masach społeczeństwa rosyjskiego, zaczyna i u postępowców zjawiać się pewien zwrot znamienny.

Na ten zwrot wskazuje bardzo ciekawy zatarg między redakcyą liberalnego pisma „Utro Rossii", a jego korespondentem lwowskim, p. D. Doncowym, Ukraińcem. „Utro Rossii" chętnie zamieszczało korespondencye p. D., informujące objektywnie o sprawach ruskich, ale skrzętnie odrzucało wszystko, co było krytyką ujemną moskalofilów. Wobec kategorycznego żądania wyjaśnień ze strony p. Doncowa, redakcya pisma petersburskiego oświadczyła wyraźnie, że nie uważa moskalofilstwa za objaw szkodliwy. Zmusiło to p. Doncowa do zerwania stosunków z tem pismem i do opowiedzenia o przebiegu zatargu na łamach ukraińskiej „Rady" kijowskiej.

Fakt to bardzo charakterystyczny, świadczący o oddziaływaniu i na postępowców kierunku, widzącego w moskalofilach galicyjskich punkt oparcia do realizacyi zamiarów zaborczych na gruncie galicyjskim. I z podobnego rodzaju faktami będziemy się spotykali coraz częściej, zwłaszcza po oderwaniu Chełmszczyzny od Królestwa, uważanym w kołach nacyonalistów rosyjskich jedynie za etap do dalszych zaborów „ziem odwiecznie rosyjskich".



TADEUSZ DĄBROWSKI.

ODMIENIONE OBLICZE WOJNY.



Wojna jest instytucyą starą, jak społeczeństwo. Lecz jakże zmieniał się w ciągu wieków jej charakter, psychologia, technika. Jak zmienne były pobudki ich prowadzenia, interesy, które je wywoływały!

Były wojny, prowadzone przez gromady ludzkie o terytorya, o możność codziennej egzystencyi, o paszę dla bydła, o obszary dla polowań, o ziemię pod uprawę. Ludność mnożyła się i ciągnęła na podbój dla chleba, dla życia.

Były wojny, wzbudzane manią, porywem idealnym, jednoczącym ludzi i każącym im choćby gwałtem zdobywać współwyznawców, wojny religijne, nie wzdrygające się przed krwiożerczym fanatyzmem, pięścią narzucające przekonania. Wojny krzyżowe, wojny święte, wojny o wiarę.

Były wojny, których źródliskiem nasycającem stawała się ambicya społeczeństw, narodów, zniewalająca je do szukania widzialnego wyrazu ich wyższej nad inne wartości w panowaniu nad innemi, w ogarnianiu rządem swoim całego historycznego świata, w organizowaniu wszech obejmującego imperyum.

Były wojny dynastyczne, utrzymać mające przy władzy daną rodzinę, lub mające ją obalić, z widowni dziejowej usunąć w mrok; w których społeczeństwo, państwo stawały się organem, zaspokajającym potrzeby tej jednej rodziny.

I były wojny, zrodzone w fantazyi jednostek, takiego Aleksandra Wielkiego, takiego Dżingischana, takiego Napoleona, zaspakajające ich instynkt potęgi, władzy, stwarzane ich wolą życia, obmyślane, nie gwoli zaspokojeniu odczuwanych właśnie, nieodzownych wymagań własnego narodu, czy państwa, lecz układane jako twory sztuki, dla nich samych, dla wytworzenia i zdobycia jeszcze jednej możliwości intellektualnej. Wojny, w których przejawiał się li tylko talent twórczy genialnej osobistości.

Były? Po cóż używać tu czasu przeszłego, kiedy każda chwila przekonać może, że te wspomnienia historyczne są tylko drzemiącą teraźniejszością. Obecność zawiera w sobie prócz form nowych, świeżo wytworzonych i skamieliny przeszłości.

Więc np. młodzi entuzyaści włoscy, przedstawiciele kierunku futurystycznego, przyszłościowego w literaturze włoskiej, z zapałem witają wojnę trypolitańską, jako ujawnienie w roku jubileuszowym samopoczucia zjednoczonego narodu włoskiego, jako zerwanie z kwietyzmem doby minionej, z polityką bezwładności, jako chęć zaznaczenia mocarstwowych tendencyi Włoch. Wojna stała się objawem odrodzonego ducha narodu, powracającego znów do dawnych sił, gardzącego wszelkiemi ustalonemi konwencyami i plującego na uznaną moralność słabych, na sprawiedliwość międzynarodową, humanitaryzm, hasła pokoju wiecznego, czyli wieczystego bezruchu. Obudziła się tradycya dawnego cesarstwa rzymskiego narodu łacińskiego.

Herman Bahr, jeden z najznakomitszych przed-

BENEDYKT HERTZ.

KABOTYN.

NOWELA.

Okropna była plucha.

Godzina czwarta najwyżej, a już z ołowianego nieba osuwał się mrok, nakrapiany dużymi płatami śniegu, co topniał w błocie. Nagie, zapłakane drzewa głupio rozczapierzały gałęzie, a chwilami szarpały się bezradnie, jakby uciec chciały ze smutnego, pustego ogrodu.

Rzadcy przechodnie, wtuleni w podniesione kołnierze palt, śpieszyli od bramy do bramy, wystawiając pod wiatr oblepione śniegiem parasole. Nawet kudłaty pies, nie mający — sądząc z powierzchowności — żadnej stałej posady, podwinął ogon i biegł prosto, nie obwąchując ani drzew, ani kołków, otaczających wyszarzałe trawniki.

Raptem zatrzymał się i podniósł przednią łapę, niezmiernie zdziwiony. Uderzył go widok człowieka, używającego przechadzki środkiem bocznej alei, wyniesionym ponad dwie szerokie strugi błota.

Zwolna, ostrożnie kundel zbliżył się o kilka kroków. Znów stanął; spojrzał zezem i wyciągnąwszy z pod brzucha mokry ogon, machnął nim kilka razy, co miało oznaczać gotowość zawarcia przymierza.

Ale zamyślony pan zdawał się nie mieć nic wspólnego z otaczającym go światem. Dowodził tego pieniekąd jego wygląd i kostyum: staromodny cylinder z bardzo wstydliwem rondem; palto, zapięte na jeden tylko guzik; balowe lakierki, wdzięczące się do siebie spiczastemi, w górę zadartemi noskami; wreszcie tkwiący w oku monokl, który sprawiał nieznośne męki lewej połowie twarzy i zmuszał do noszenia tejże twarzy nieco nabakier.

Człowiek, stanąwszy w końcu alei, zawrócił, a pies pobiegł swoją drogą.

— Ćwik, co się tak wleczesz?

Spacerujący jegomość obejrzał się i szybko schował monokl do kieszeni.

— Hm... nie... nie... Czekam tu na kogoś.

— Randka? Ej, stary łobuzie.

— Zaraz randka! Mam spotkać kogoś, ale to nie znaczy...

stawicieli świata umysłowego Niemców austryackich, pisał w książce swej „Austriaca“ z powodu aneksyi Bośni i Herzogowiny, że Aehrenthal utrafił w szczęśliwy moment dziejowy, kiedy w Młodej Austryi ocknęło się sumienie historyczne, które uczuło, że monarchia nasza nie może się dać dłużej pomijać w koncercie mocarstwowym Europy, że podkreślić musi, iż Austrya żyje i że z nią się liczyć należy. Tak odrosła nagle ambicya państwa.

Więc w Rosyi zauważyć można na każdym kroku dziki popęd wchłaniania, pożerania coraz większych obszarów, bez względu na zdolność trawienia, asymilowania. Mandżurya, Mongolia, Turkestan, Persya... Wewnątrz zaś państwa Finlandya, czy Chełmszczyzna, wyodrębnianie sztuczne wrzekomo rdzennie rosyjskich obszarów. Skoro przez lata całe inorodców nie udało się zasymilować, trzeba się od nich sztucznie odgraniczyć.

Więc niedawno tu i ówdzie w świecie muzułmańskim wzbudzane i zabobonną trwogę w sercach tolerancyjnych Europejczyków niecące, hasła wojny świętej przeciw innowierczemu ciemiężcy. Lub wreszcie walka o dynastyę w Persyi, czy w Chinach.

Kto się jednak bliżej przyglądnie tym konwencyonalnym dzisiaj formom wojny, zauważy, że są one tylko dekoracyami, dorabianemi sztucznie, pokrywającemi walkę ścierających się interesów ekonomicznych. Trypolis, Marokko, Persya, wszędzie ciągnie najpierw przemysłowiec, kupiec, kapitalista, za nim dla obrony interesów narodowych postępuje zwartą ławą armia. Po rozpoczęciu wojny trypolitańskiej wyczytać można było w niektórych pismach wiadomość, że finansowania wojny podjęli się kapitaliści medyolańscy, w zamian za koncesye na eksploatacyę bogactw mineralnych kraju. Wiadomość, acz nie potwierdzona, wielce znamienna.

Rolę czynną w polityce narodowej objął obecnie kapitał. Państwo stało się jego narzędziem, idzie wszędzie w imię i w obronie interesów kapitału. Życie, krew obywateli, które każdej chwili muszą być przygotowane do wstąpienia w służbę państwa, płacą kapitałowi i w tej formie haracz.

Tylko, że z wystąpieniem na widownię kapitału zmieniło się i oblicze wojny. Dalecy jesteśmy już od dawnych epopei heroicznych, zaścielających setkami tysięcy trupów pola bitew. Zagrażająca z powodu aneksyi Bośni wielka burza bałkańska rychło skończyła się, skutkiem przeprowadzenia bojkotu towarów austryackich. Niedawne poszczękiwania orężem przez Niemcy z powodu zajęcia Marokka przez Francyę ustały, skoro tylko kapitały francuskie odpływać zaczęły z Niemiec do ojczyzny. Brakło pieniędzy i groźny przeciwnik spotulniał natychmiast.

Polityka zagraniczna państw staje się coraz bardziej zależna od rynków pieniężnych. Kapitał zdaje sobie z tego doskonale sprawę, zakłada pisma, któremi wpływa na opinię publiczną, wynajduje dekoracye, dobiera pięknych haseł dla pokrycia interesów istotnych. Polityka narodowa utożsamia się, tym sposobem z polityką kapitalistyczną.

Świeżo jesteśmy świadkami interesującej fazy tej polityki. Dwukrotnie już daremnie usiłowała monarchia austryacko-węgierska dostać się na rynek pieniężny francuski. Odpowiedziano, że wspierać finansowo sprzymierzeńca politycznego wroga, którym są Niemcy, znaczy, działać na własną szkodę. I zupełnie słusznie. Nie można wspierać finansowo państwa, które każdej chwili zmuszone być może do wystąpienia przeciw interesom wspierającego. Nazwano to unarodowieniem kapitału, oznacza to zaś istotnie, że kapitał zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności za politykę, którą prowadzi, że przejął na siebie tradycyę i obowiązki narodowe.

Pisma giełdowe wiedeńskie traktują sprawę

Szykowny młodzieniec, o wypieszczonych wąsach, ironicznie zmrużył małe, przenikliwe oczki.

— Cóż to za nowa lafirynda?

Ćwik zatrzymał się i spoważniał, jak stara kanapa.

— Antek, bardzo cię proszę...

— Milka z rogu kazała zapytać, czemu jej już kwiatów nie przesyłasz.

— Żegnam pana. — Obraził się Ćwik i zawrócił.

A tamten stał jeszcze chwilę, bawiąc się widokiem jego pałąkowatych nóg, stawianych ostrożnie, by nie zabłocić lakierek.

*

Ćwik wracał do domu zgnębiony.

— Może ją czem uraziłem?... — myślał. — Może zbyt natarczywie żądałem spotkania?

I chwalił Cesię w duszy, że nie przyszła. Alboż ona wiedzieć coś może o czystości jego uczuć?

Widzieli się wszystkiego dwa razy. Pierwszy raz rozmawiali przeważnie o kawonach (Cesia była sklepową w owocarni). Ćwik zauważył, że ma oczy, jak dwa habry, a w całej postaci wdzięk młodej kaczuchny. Stąd wywnioskował odrazu, że jest to dusza subtelna i stał się tak nieśmiały, jak piątoklasista w składzie przyrządów gutaperkowych. Poprosił o szklaneczkę wody sodowej z sokiem waniliowym, żeby jeszcze coś powiedzieć, i wyszedł, niosąc pod pachą olbrzymi arbuz, z którym nie wiedział, co dalej pocznie.

Następnej nocy śniła mu się, przebrana za Julię Kapuletównę. Prosiła bardzo ładnie, żeby ją zasztyletował, więc znów się wybrał do owocarni. A gdy, bełkocąc niewyraźnie, rozkochany wzrok przeniósł z wielkiego zakłopotania na miedziany syfon, spytała z niezrównanym taktem:

— Z sokiem, czy czysta?

— Czysta — szepnął — czysta, jak pani.

A ona uśmiechnęła się i szprycując wodę, przechyliła jasną główkę na lewo.

To go ośmieliło. Siadł i choć miał nos pełen gazu, wyspowiadał się dziewczynie do dna duszy. Na pożegnanie dał bilet do teatru i zapytał, gdzie i kiedy mogą się spotkać.

*

W bramie stróżka wręczyła mu list.

Minuta i był już na górze. Z trudem otworzył drzwi, tak mu ręka drżała, a przy zapalaniu lampy osmalił sobie źle ogoloną brodę.

Wreszcie rozerwał kopertę i czytał, nie mogąc tchu złapać.

w tonie melancholijnym. Wyrzucają Francuzom gburowatość poniekąd, ponieważ Austrya oficyalnie dotąd żadnych propozycyi nawet nie przedstawiła. Dziwią się temu szowinizmowi narodowemu. Napomykają o możności bojkotu przemysłu francuskiego, któremuśmy ofiarowywali miliardy, a jednak myśli tej wspaniałomyślnie się wyrzekają. Nie chcemy wracać do czasów barbarzyńskich! Kapitał jest z natury swej międzynarodowy.

I gdy się wyprowadzi ostateczne konsekwencye z tendencyi, przebijających się obecnie, to kto wie, czy „Neue Freie Presse" nie ma pod tym względem słuszności? Przedstawić sobie można np. taką groteskę kapitału, stojącego ponad narodami i państwami.

Zawiązuje się międzynarodowe towarzystwo akcyjne dla wypożyczania narzędzi wojennych. Okręty, balony, aeroplany, działa. Wszystko, stojące na wyżynie współczesnej techniki wojennej. Kto da więcej, kto da więcej? Hola, wracają czasy kondotyerów włoskich. Okręty z załogą, armia najemna do rozporządzenia. Zwycięzcą staje się ten, kto ma więcej pieniędzy, kto zakupić może więcej potworów morskich, kto największą ilość najpotężniejszych dział, najszybsze pociągi mieć może do użycia.

Wojna? Ach wojna prawdziwa stać się może wtedy dziwolągiem, mitologicznym zabytkiem. Poprostu papiery państw będą na giełdzie spadać lub iść w górę. Państwa rozporządzać będą siłami wojennemi tak, jak się w Argentynie do niedawna kupowało olbrzymie obszary stepów, których się nie oglądało nigdy, lub jak w Londynie kupuje się udziały naftowe w Galicyi czy na Kaukazie.

A z czasem pokaże się może, że lata całe uprawiał się olbrzymi szwindel, którego nikt nie zdołał wykryć. Że mówiło się o armii, stojącej w pogotowiu wojennem, o flocie morskiej, czekającej na hasło do odjazdu, ale wszystko to było tylko na papierze. Wsie Potemkinowskie! Brak było na te papiery pokrycia.

Lecz jest to groteska zapewne nieco odleglejszej przyszłości.



„Muj gołompku ni mogam przyńść na randewu inaczy bem pszyszła ale ni mogłam wiendz mnie bardzo tęskno i niegniwaj sie, dwa Serca złonczone klócz żucony w Morze nik Nas nie rozłonczy habaty Boże tfoja

Ciudka.

Potskreptu. Stefka mę muwiła, że ty nie jezdeś w cale derektor tylko suwler wiendz ja ji powiadam ty małpo. Ale nie wiem czy to naprawdę, ale jak mnie daż i dzisiaj kontramarkie do kszeseł to ona gembe zamknie".

*

Ćwik był istotnie suflerem, ale do tytułu dyrektora miał przez nikogo nie kwestyonowane prawo. Wiadomo bowiem, że są tytuły, których się nigdy nie traci. Dlatego to mamy takie mnóstwo ministrów, posłów, redaktorów i dyrektorów, którzy są nimi, bo gdzieś, kiedyś, coś... Zdaje się, że nawet przechodząc w stan anielski, godności te zachowują. Co do jednego takiego męża mamy nawet pewność. Albowiem, głosując w trzy lata po śmierci, podczas ostatnich wyborów figurował, jako „redaktor X".

Co się tyczy tytułu Ćwika, to geneza jego była następująca.

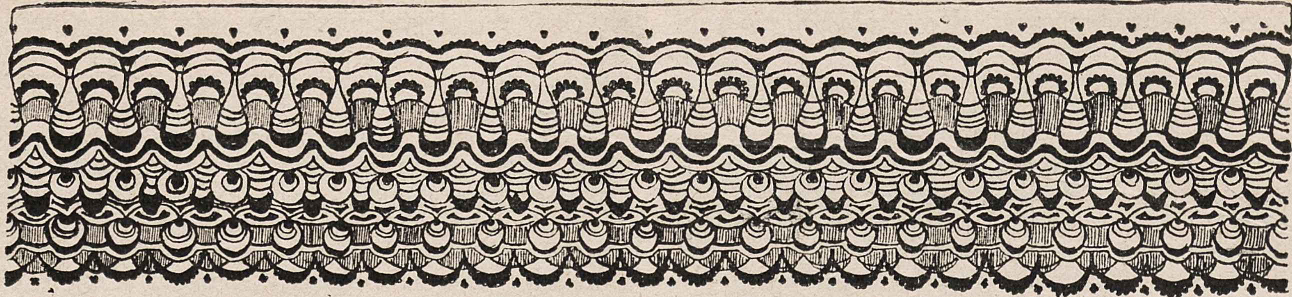
W początkach swej karyery scenicznej (poprzedzonej dwuletnią i wiele obiecującą praktyką w aptece) rwał się do ról amantów bohaterskich. Kochać, być kochanym, oświadczać się, uwodzić, odtrącać, przysięgać — oto sytuacye i sceny, które go najmocniej pociągały i w które rzeczywiście umiał wkładać najwięcej szczerego sentymentu. Był to sentyment — że tak powiem — obchodowy, przypominający zapał jubileuszowych manifestantów, którzy, za zgodą c. k. policyi, pokrzepiają swe serca bardzo śmiałem spacerowaniem na pamiątkę tego, lub owego krwi przelewu.

Zresztą zachodziła tu pewna różnica. Przeciętny uczestnik obchodów jubileuszowych, na rzecz np. Hussa, lub Joanny d'Arc, woli nie być w ich skórze; wystarcza mu, gdy krzyknie, że gotów zginąć dla danej idei, ale nikt go za słowo nie weźmie.

Ćwik zaś — przeciwnie. Nawet konający Romeo budził w nim zazdrość niekłamaną.

Niestety...

— Czyś pan sfiksował? — powiedział mu raz dyrektor. — Z takiemi warunkami chcesz pan grać kochanka Julii?



STANISŁAW JERZY KOZŁOWSKI.

Z CYKLU „PIEŚNI KRÓLEWSKIE“.

ZEMSTA.

I zapaliły się moje pioruny,
I rozszalały wichrów gniewne burze,
Aż zajaśniałem w blaskach złotej łuny,
W jakiejś straszliwej, płomiennej purpurze.
Na wieki z światłem wszechmogącem zbratan,
Piękny, jak półbóg i dumny, jak szatan.

*

Więc głos mój pobiegł przez ogni ukropy
Do niej... I przyszła drżąca i wybladła,
A później, vóźniej... naraz pod me stopy
Z jakąś tragiczną pokorą upadła,
I przytuliła do nich krasne wargi,
Pełne bojaźni, i lęku, i skargi.

*

Lecz czemu mścić się? W upojnym obłędzie
Wolę ją trzymać u mych nóg na zawsze,
Bo to jej karą najstraszniejszą będzie
I łzy niemocy z ócz wyżre najkrwawsze.
Niechaj się palą ognie i pioruny!...
Otom poiężny jest w purpurze łuny.

*

Oto wybiła zwycięstwa godzina
I owoc dzikiej zemsty dała spożyć,
Oto uznała mnie... — Potęgi syna...
Oto wybladła przyszła się ukorzyć,
Do nóg mych usta tuliła w bojaźni,
Czekając z lękiem zasłużonej kaźni.

*

A ja oparłem na jej karku nogę...
Potworny uśmiech rozbłysł z mojej twarzy —
I rozpaliłem znów blasków pożogę,
Która przyświeca tryumfom mocarzy.
Niech widzi wszechświat me radosne lice
I ją... zwaloną w prochu niewolnicę.

*



E. W.

Z NAD WARTY I ODRY.

IV.

Dzień 12-sty stycznia przyniósł społeczeństwu polskiemu w zaborze pruskim szereg przykrych niespodzianek. Zamiast 19-tu mandatów, zdobytych w r. 1907-ym odrazu, obecnie obóz polski może się wykazać zaledwie 15-tu mandatami. Do wyborów ściślejszych staje tym razem aż dziesięciu Polaków — i to częściowo w okręgach, które przed 5-ciu laty zdobyto odrazu. Dotyczy to okręgów śląskich, gdzie nawet przy najbardziej pomyślnym wyniku wyborów ściślejszych nie uda się utrzymać poprzedniej liczby mandatów. Jeszcze jedną niespodzianką było olbrzymie zwiększenie się liczby polskich głosów socyalistycznych. Że chodzi tym razem rzeczywiście o polskie, nie zaś niemieckie głosy socyalistyczne, świadczy o tem poważne zmniejszenie się głosów, oddanych na kandydatów „Koła Polskiego" w okręgach najbardziej polskich Górnego Śląska.

Na razie niema jeszcze cyfr szczegółowych, dotyczących wszystkich okręgów zaboru pruskiego. To też musimy ograniczyć się jedynie jaknajbardziej ogólnym przeglądem wyników batalii wyborczej 12-go stycznia.

A więc w Poznańskiem zachowano wszystkie dotychczasowe mandaty polskie. I to nie tylko zupełnie pewne, ale i wątpliwe, jak szamotulsko-międzychodzko-oboznicko-skwierzyński i wyrzysko-szubińsko-żniński. We wszystkich okręgach z wyjątkiem jednego — krotoszyńsko-koźmińskiego, wybory poszły o tyle gładko, że wszyscy zwolennicy „Koła Polskiego" głosowali jednomyślnie. Tylko wyżej wzmiankowany okręg wywołał starcia poważne między konserwatystami, a narodowymi demokratami. Pomimo, że władze wyborcze zatwierdziły kandydaturę Chłapowskiego, popieranego przez narodowych demokratów, konserwatyści urządzili t. zw. w Poznańskiem „secesyę" i postanowili głosować za Lipskim. Nie pomogło nawet zrzeczenie się kandydatury przez tego ostatniego, ogłoszone w „Dzienniku Poznańskim". Przy wyborach „secesyoniści" oddali głosy Lipskiemu, który też zdobył ich 3236, gdy na Chłapowskiego padło 5186. Wobec zupełnej pewności tego okręgu wybór ściślejszy, między Chłapowskim a hakatystą Hemplem, który otrzymał 3573 głosy, musi się skończyć zwycięstwem Polaka, w tym wypadku Chłapowskiego.

W Prusach Zachodnich Polacy zdobyli cztery mandaty, w tem jeden, co do którego wcale nie było pewności. Chodzi o mandat z okręgu świeckiego, zdobyty przez Sas-Jaworskiego większością 193 głosów. W dwóch okręgach Polacy przychodzą do ściślejszego głosowania. W jednym z nich (grudziądzko-brodnickim) wybór Polaka nie jest wykluczony.

Na Warmii kandydat polski przepadł. Z Mazowsza wschodnio-pruskiego, gdzie nie było mowy o wyborze kandydatów polskich i gdzie chodziło tylko o stwierdzenie takiego, czy innego stosunku głosów polskich do niemieckich, niema jeszcze dokładnych danych cyfrowych, odnoszących się do kandydatów polskich.

Najciekawiej przedstawiają się wybory na Górnym Śląsku. Tu w jednym jedynym okręgu pszczyńsko-rybnickim został wybrany poseł-Polak, hr. Mielżyński z Poznańskiego. Ten ostatni stawał do wyboru i w okręgu szamotulsko-oboznickim, gdzie

---

Ćwik wyprężył całą swą klockowatą figurkę, prawą rękę wyciągnął przed siebie i szeptał głosem tkliwym, jak szczebiot jaskółki:

— „O mów, mów dalej, uroczy aniele:
Bo ty mi w noc tę tak wspaniale świecisz,
Jak lotny goniec..."

Dyrektor śmiał się, aż mu tupecik zwędrował na prawe ucho, a w szeroko rozwartych ustach górne zęby spadły na dolną szczękę.

— Mogę się podsztukować — zauważył Ćwik, wytrącony z nastroju.

Dyrektor uporządkował zęby i poprawił tupecik.

— A co pan zrobisz z temi nogami, jak obcęgi? Wprawdzie Szekspir był Anglikiem, ale to nie powóod, by jego bohaterowie mieli angielską chorobę.

— Jak włożę płaszcz...

— Idź pan spać ze swoim płaszczem — zakończył rozmowę dyrektor i dał Ćwikowi rolę Piotra, o którym nie powiedziano nic więcej, tylko, że nosił wachlarz za Martą.

Ćwik posłusznie zabrał rolę, lecz nazajutrz odesłał ją z listem, w którym prosił o „dymisyę".

Odebrał z kasy oszczędności 243 papierki, zastawił srebrny zegarek, dwa pierścionki, palto zimowe, ile że marzec już miał się ku końcowi, i założył własną dyrekcyę.

Żywot jej był wprawdzie niedługi, ale chwalebny. Wędrując od miasteczka do miasteczka, Ćwik wystawiał kolejno najcelniejsze utwory literatury dramatycznej. Grał osobiście Romea, Hamleta, Zbigniewa, Markiza de Priola, Wilhelma w „Końcu Sodomy", Uriela Acostę; a gdzie przybył, tam — dla pewności — dawał jedno tylko przedstawienie i wnet po skończeniu wyjeżdżał. Publiczność okazała się wszędzie bardzo niekulturalna. Śmiała się z byle czego, nieraz w najtragiczniejszych chwilach.

Głupstwo, wypadek: wojewodzie broda odpadła — ryczą bydlaki. I to właśnie w chwili, kiedy Ćwik-Zbigniew na pewną śmierć idzie.

Mimo wszelkiej ostrożności, młody dyrektor nie uniknął rozgłosu. a nawet małej owacyi. W ostatniej scenie „Markiza de Priola", kiedy już zabierał się do umierania (właściwie powinien go był tylko szlag trafić, ale Ćwik uznał śmierć za efektowniejszą) bohater dostał tak w nos kartoflem, że nazajutrz mógł grać jedynie Uriela, bo mu się organ powonienia zupełnie zdefasonował i tylko przy typie semickim był możliwy. Ostatni popis miał Ćwik w roli Rembowskiego (w „Złotem Ru-

nie był pewien mandatu. Poszczęściło mu się jednak i tam, wobec czego zrzeknie się mandatu górnośląskiego i zatrzyma poznański.

Okręg pszszyńsko-rybnicki jest bodaj jedynym z okręgów górnośląskich, w którym głosy, oddane na zwolennika „Koła Polskiego", nieco wzrosły liczebnie — z 15.091 na 15.297. We wszystkich innych spadły znacznie, pomimo stosunkowo wielkiego wzrostu ogółu głosujących.

W niektórych okręgach ten spadek jest wprost olbrzymi. Np. w okręgu bytomsko-tarnogórskim — o 8000, w katowicko-zabrskim — o 7 i pół tysiąca i t. d. Natomiast głosy, oddane na kandydatów centrum i różnych grup niemiecko-hakatystycznych, wzrosły poważnie. Największy jednak jest przyrost głosów socyalistycznych, jak wskazuje poniższe zestawienie:

Okręg.	r. 1907.	r. 1912.
Katowicko-zabrski	5.665	15.158
Bytomsko-tarnogórski	5.974	12.800
Gliwicko-lubliniecki	1.397	3.900
Pszczyńsko-rybnicki	345	2.378
Raciborski	1.793	2.418
Opolski	1.105	2.284

W okręgu katowicko-zabrskim, gdzie do wyboru stawało pięciu kandydatów, socyalista, główny kierownik P. P. S. na Górnym Śląsku, Biniszkiewicz, wysforował się na drugie miejsce. Wobec tego przyszło do wyboru ściślejszego między nim a kandydatem „Koła Polskiego", Sosińskim.

Gdy w roku 1907-ym socyaliści na całym Górnym Śląsku otrzymali mało co ponad 13.000 głosów, obecnie w wymienionych powyżej, oraz w kozulskim i głupczyckim, zdobyli przeszło 40.000 głosów.

Ten wzrost głosów socyalistycznych daje się zauważyć i w Poznaniu, gdzie w r. 1907 kandydat socyalistyczny (P. P. S.) otrzymał 1.335 głosów, przy uzupełniających wyborach r. 1910 — 2.192, teraz zaś 3.573. Świadczy to (w Poznańskiem) o rosnącem niezadowoleniu z polityki „Koła Polskiego", na Górnym Śląsku zaś i o postępach organizacyjnych socyalizmu, a przedewszystkiem P. P. S. Tej samej P. P. S., której jeszcze przed kilku miesiącami cała prasa poznańska, popierająca „Koło Polskie", a za nią i galicyjska śpiewała „Requiem".

Od uwag ogólnych co do przyczyn porażki kandydatów polskich na Górnym Śląsku na razie należy się powstrzymać wobec braku szczegółowych danych o przebiegu wyborów. Jakkolwiekbądź wynik tych ostatnich jest poważnem *memento* dla sfer, kierujących polską polityką narodową i na Górnym Śląsku i w całym zaborze pruskim Polityka, wroga interesom społeczno-ekonomicznym szerokich mas ludności, klerykalna i ugodowa, zbankrutowała. I dalsze uprawianie tej polityki przez „Koło Polskie" może skończyć się dla niego katastrofą.

Dnia 19. stycznia 1912.

Artykuł ten pisany bezpośrednio po pierwszych wyborach zawiera tymczasowe dane, wyczerpujące sprawozdanie z wyborów podamy w numerze następnym. (*Redakcya*).



nie"), ale sztuki tej nie skończył. Publiczność zaściankowa, kołtuńska, źle widać usposobiona dla Przybyszewskiego, zażądała zwrotu biletów.

Ostatecznie Ćwik przeprosił się ze swym dawnym dyrektorem, który ofiarował mu stanowisko suflera. Przyjął je chwilowo. Ale chwila ta nie miała jakoś końca. Już pięć lat siedzi w budzie, nosi tytuł dyrektora, a marzy o wystąpieniu w roli amanta-bohatera.

Przedewszystkiem zaś musi skończyć Rembowskiego i pokazać, jak się go właściwie grać powinno.

*

Przeczytał list Cesi i opadł na krzesło.

Wydała mu się zupełnie obcą, niepodobną do tej, którą widział za kontuarem owocarni i przed którą odsłonił wszystkie rany swej zbolałej duszy. Wprawdzie był on zawsze zdania, że wykształcenie zabija kobiecość, podnosi zaś ją prostota i nieświadomość; ale zdawało mu się, że prostoty było w tym liście trochę za dużo, a nieświadomości — za mało. Najbardziej jednak to go zaniepokoiło, że Cesia znała widocznie Stefkę, dziewczynę której sposób prowadzenia się był trochę podejrzany.

Zeszłego lata krążyła ona dokoła teatru i zdawałą się szukać znajomości z artystami.

„Biedne dziewczę — pomyślał Ćwik. — Kocha scenę, a nie wie, jak się do niej zbliżyć".

Któregoś dnia ukłonił się; ona się odkłoniła. W kilka dni później byli o tyle zapanbrat, że Ćwik nie miał przed Stefką żadnych tajemnic. Wiedziała, że kocha jakąś mityczną Klementynę i szuka zapomnienia w serdecznej przyjaźni z siostrzaną duszą. Ponieważ domyślał się, że i nowa znajoma tęskni do cichej po burzach i zawodach przystani, więc zaproponował, by się do niego wprowadziła.

Dziewczę zapłoniło się, czemu Ćwik wcale się nie dziwił, ale wieczorem było już u niego z kuferkiem i fotografią nieboszczyka narzeczonego, który może niezupełnie umarł, ale w każdym razie podział się gdzieś i Stefka dotąd jeszcze nosiła po nim żałobę, w której zresztą bardzo jej było do twarzy. Jak cudnie była naiwną — dowód, że nie wiedziała nawet, jak się zwał ów narzeczony. Fakt ten wprost entuzyazmował Ćwika.

Co za dziecięca ufność! Co za prostota i bezpośredniość uczuć!

Stefka była bardzo wesoła. Całemi dniami śpiewała i ozdabiała mieszkanko ręcznemi robótkami. Gdy około drugiej wracał z próby, zastawał „żonkę" w ślicznym różowym szlafroczku, zajętą szy-

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

...I była już w dziejach narodu taka chwila, „gdy — jak pisał o tem w swoim czasie Feliks Wrotnowski do Domejki — przychodziły (z Polski) coraz rzadsze wieści, — ale te, co je zły wiatr przyniósł były tylko żałobne, okropne. Pokolenie starsze szybko zapadało w ziemię, z niem pamięć o nas. Rówieśnicy, znajomi, przyjaciele, jeden po drugim, musieli wypłacić zaległy dług męczeństwa. Od czasu do czasu ręka wroga przesiewała ich na sito, aż wszyscy zatoczyli się w głąb Rosyi, chyba, który był próżną plewą; — ten zatrzymał się na miejscu — w śmieciach."*)

„Każdy czyn, każde działanie, choćby najmniejsze, nawet niewłaściwe i niestosownie co do środków, czasu i miejscowości przedsięwzięte, ale mające na celu wyswobodzenie ojczyzny z pod obcej ziemi, staje się już przez to samo własnością narodu — bo świadczy dzisiejszemu i świadczyć będzie przyszłym pokoleniom" — pisał po powrocie z Syberyi Rufin Piotrowski.**)

„Duszą narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie" — powiedział Mickiewicz.

Daleko poza granice geograficznej Polski wychodziła na szlaki tułactwa i wygnania dusza Polski, unosząc, jako całe swe mienie, ukochanie ojczyzny, — tej ojczyzny, której na mię jest wolność.***) Na Wschód i na Zachód szła w swem pielgrzymstwie Polska — „do głębi kopalń Syberyjskich i śniegów Kamczatki" zarówno jak i „do stepów Algeru i do Francyi ziemi cudzej..."

„Tu Sybiry mroźne
I Iwany groźne
A po tamtej stronie
Klubowe tyrany
Kule strute — kwas siarczany
Ludożercze bronie
Boże zlituj się nad wami!"

tak uskarżał się w „Psalmie Żalu" Zygmunt Krasiński.

Jakże inaczej zrozumiał i odczuł pielgrzymstwo polskie Mickiewicz:

„A każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący bez celu. Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego. Polak w pielgrzymstwie niema jeszcze imienia swego, ale będzie mu to imie potem nadane i t. d.*)

Tak w smutnej doli pielgrzymstwa Zachodu — jak i — (czy nie częściej nawet być może) —

*) Cytujemy podł. ks. J. Bystrzyckiego: Andrzej Towiański i jego doktryna.

**) „Pamiętnik z pobytu na Syberyi" Rufina Piotrowskiego. Poznań 1860. Tom I. str. 15.

***) Patrz. „Księgi Narodu Polskiego" str. 21: wyd. 1-sze „I rzekła nakoniec Polska: ktokolwiek przyjdzie do mnie, będzie wolny i równy, gdyż ja jestem Wolność..."

*) Adam Mickiewicz: „Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego" str. 24. wyd. 1832 r. w Paryżu.

---

kowaniem obiadu, który stróżka przynosiła w menażkach.

Żyli tak coś około trzech miesięcy; aż raz Ćwik wrócił dziwnie zafrasowany. Rzucił kapelusz na łóżko i spacerował po pokoju, gryząc wąsy.

— Stefka — rzekł, stając za nią i odgarniając szeroki rękaw szlafroczka. — Wyjeżdżam.

Odwróciła się raptownie. W jej rozmarzonych oczach, pływających w nalanej, beznamiętnej twarzy, gniew błysnął.

— Sam? A ja?

— Wyjeżdżam z teatrem; mamy grać na prowincyi. Widzisz, ja bym cię zabrał, ale na hotele dyrekcya skąpi. Będziemy brali pokoje po dwuch, po trzech... Zreszą, za dziesięć dni wrócę.

— To siadaj i jedz, bo ci zupa wystygnie.

Jadł wolno i co chwila spoglądał na Stefkę.

— Ile będę mógł, będę ci przysyłał, ale...

Zakrztusił się i urwał.

— Pamiętaj, Stefka — szepnął w końcu.

— Także coś... — odpowiedziała, podrzucając ramionami.

*

Zajęto cały przedział.

Pociąg ruszył.

Dziobaty Franek co chwila gładził się po krótko ostrzyżonej czuprynie i śpiewał na całe gardło, nie zwracając na nikogo uwagi.

Przy drugim oknie Wacek opowiadał kilku chichocącym się koleżankom anegdoty, z których sam śmiał się najgłośniej i najserdeczniej. Ale że mu turkot kół i śpiew Franka przeszkadzał, zniecierpliwił się w końcu.

— Ta joj! — zawołał, akcentując z lwowska — zamknij pan twarz, bo wieje.

— To i lepiej; przewietrzy się trochę po pańskich dowcipach.

— Drze się, jak stara dekoracya. W strzępach pan zajedziesz.

Po stronie śpiewaka stanęła drobna, czarna osóbka. Przysiadła sią do niego i pocałowała w czoło.

— Nie zważaj na niego, Franusiu. Bardzo ładnie śpiewasz.

Reszta mężczyzn stłoczyła się dokoła starego Jóźwińskiego. Senior gromady o wyglądzie pogniecionego barona, wcisnąwszy się w róg, opowiadał płaskim głosem coraz pieprzniejsze historyjki. Właśnie wyciął z papieru kilka figurek, a składając je i rozkładając, illustrował długą balladę o kapucynie i norbertance. Piękny Antek, założywszy nogę na nogę, rozparł się wygodnie, i, szlifując paznogcie, uśmiechał się łaskawie; siedzący zaś obok niego Staszek, wyglądał bardzo poważnie, czytał, nie zważając na rozmowy i śmiechy.

(C. D. N.)

w rozpaczliwie twardej, nieraz obłędnie gorzkiej i krwawej golgocie pielgrzymstwa w głąb rosyjskiego wygnania — przez przeraźliwe długi szereg dziesiątków lat ulata po nad równiny rosyjskie, po nad wstęgę tajg syberyjskich po nad ziemię nie tylko już c u d z ą, lecz wręcz w r o g ą bowiem niewolą zdławioną i batem nad uchem rewolucyonisty polskiego świszczącą myśl polska, zdążając do Polski; jasnym anhelicznym płomieniem w lodowej pustyni sybirskiego stepu lub północnej tundry — (jak i serca wielu z wygnańców Zachodu) — jaśniały i jaśnieją jeszcze dotąd serca Beniowskich, Ciecierskich, Zanów i Zielińskich, niewiast polskich — Sakowskich, Felińskich i Migurskich, Jasieńczyków i Gillerów, Janowiczów, Płoskich, Sieroszewskich, Konów, Padlewskich Bahrymowskich i tylu, tylu innych, których imiona jeszcze nie zdążyła zapisać historya; w dalekiej, głuchej Jakutce i pod zastygłem od zewnątrz w jeden sopel lodu sklepieniem nieprzewietrzanych nigdy jurt — tak jak i w stepach Algeru — załamywały się w rozpaczliwym, boleśnie rozmodlonym geście dłonie polskie na widok Polski zdławionej, bezsilnej, skutej przemocą w kajdany, wyojczyźnionej i zniewolonej ugiąć się pod berła najezdniczych mocarstw, próżno w bezsilnym gniewie i pomście porywającej się do korda i do szabli — następnie — z piętnem śmiertelnego poddania ducha na czole, nałogiem raz przyjętej niewoli naznaczonej, wszelki czyn polityczny od siebie odpychającej— Polski pozytywistycznie — trzeźwej i trzeźwo — mieszczańskiej Polski. Lubeckich, Wielopolskich, Wincentych Krasińskich lub Milewskich.

Nawet ci, którzy przesiąknięci stanowym i klasowym egoizmem, nie potrafili zrozumieć ducha czasu i których trapiła ciężka zmora wspomnień Robespiera i widmo rzezi galicyjskiej— i ci nawet wzdrygnęli się przed zalewem duchowego mieszczaństwa, jakie czekało Polskę:

„...d w a t y l k o d u s z k u p i e c k i c h s t a n y
„Igrząc walczyły o prym na przemiany, —
„Raz zysku chciwość — to znów wojen trwoga
„I świat ten cały był G i e ł d ą — bez Boga!
„A jako szatan archanielskiej mocy
„Po nad tą Giełdą, od lodów północy
„Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,
„Którzy mnie dotąd w tych okowach trzyma! *)
„A oni wszyscy — miasto dziarsko, razem,
„Uderzyć w wroga ogniem i żelazem,
„Z żelaza tylko kuli dróg koleje
„I w parach wodnych pokładli nadzieje!
„Bo się nie bali — ni Boga — ni sromu,
„Lecz śmiertelnego pola bitew gromu — —
„I dobrze było M i e s z c z a n o m tym w domu!**)

W tym fragmencie mylił się Krasiński zaledwo w tem, że w Polsce pozoztały „dwa tylko dusz kupieckich stany“ i że stała się cała tylko giełdą. Na szczęście stało się inaczej i to stało się dzięki Robespierom.

„Po utracie niepodległości—pisze w swej świetnej książce: „Dzieje ruchu soc. w zaborze rosyjskim“ Res — dla wszystkich czynnych żywiołów społeczeństwa, które nie mogły pogodzić się z niewolą, naczelnym zadaniem, celem wszechogarniającym — musiało stać się odzyskanie samoistnego bytu państwowego, „odbudowanie“ Polski. Ten cel przyświecał szeregowi pokoleń, które wysyłały najlepszych bojowników swoich na krwawe pola walki, na śmierć męczeńską z ręki kata, do więziennych lochów Rosyi, Prus i Austryi; knowaniem spiskowym, czynem bojowym, romantyczną p o e z y ą r e w o l u c y j n ą, p r o p a g a n d ą i c i e r p i e n i a m i t u ł a c t w a — m a r z o n o o P o l s c e, w a l c z o n o o P o l s k ę. I u c z y n i o n o i s t o t n i e z j e j n a z w i s k a „p a c i e r z c o p ł a c z e — i p i o r u n c o b ł y s k a...“

Piorun czynu błyska w ocalonej przed zalewem mieszczaństwa Polsce — — pacierz męczeństwa płakał i płacze na szubienicach, pod sklepieniami więzień i na wszystkich drogach polskiego wygnania.

*

Zachodzą jednak znaczne różnice pomiędzy jedną a drugą formą pielgrzymstwa: na Wschód i na Zachód. Tam na Zachodzie, w ziemi cudzej, ludzie nie chodzą w kajdanach, nie noszą bransoletek na rękach, jeśli sadzano kogo do więzień i pozbawiano wolności — to przeważnie chwilowo i małą zaledwie część wszystkich pielgrzymów, na Wschodzie, na wygnaniu rosyjskim, wszyscy pielgrzymi są to niewolnicy cara i zamiast nieba Włoch, lub Francyi zwisa nad nimi nizkie, chmurne, wiecznie na wszystkie gwałty brutalnej przemocy ślepe niebo rosyjskiej Północy. Na Zachodzie niema rosyjskich etapów, robactwa więziennego, bicia, i chłosty; na Zachodzie tworzono te, czy inne towarzystwa, skupiające ludzi i stawiające przed nimi jakiś cel w ich duchowem pielgrzymstwie; — tam na Wschodzie ludzi trapi i łamie bezczyn — jeśli dobywanie rudy z kopalni nie nazwiemy czynem. Tam w ziemi francuskiej, lub innej ludzie oddaleni od Polski mogą jednak czytać o niej, słyszeć o niej, śledzić za jej życiem codziennie z gazet i dzielić się wrażeniami — tu w dzikim najczęściej pustkowiu nie dochodzi nieraz w przeciągu długich miesięcy ani jedna gazeta, ani jedna książka, ani jedna wiadomość o Polsce. Tam —na emigracyi — ludzie mogą nietylko utrzymywać łączność z narodową i ogólno ludzką kulturą i wiedzą, lecz się kształcić dalej, rozwijać i doskonalić—tu w ciężkich niekulturalnych warunkach rosyjskiego wygnania niejeden wybitny nie wyzyskał swoich zdolności — niejeden być może „przyszły uczony“ zginął dla nauki bezpłodnie — niejeden entuzyastycznie do Polski i do spraw polskich przywiązany człowiek zwolna się wynaradawiał, tracąc łączność ze swoją kulturą i ze społeczeństwem z którego wyrósł.—Gdyby to chciało zrozumieć polskie społeczeństwo, zwracanie się „Polskiego Tow. dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom polit.“ z prośbą o ofiarowywanie książek nie pozostałoby tak niemal bezpłodne, jak jest obecnie. Tam na Zachodzie tworzono Rapperswile, szkoły Batignolskie, biblioteki — tu — na wygnaniu rosyjskim gwiazdy na niebie i kamienie na ziemi były niejednokrotnie jedynemi książkami. Oto co pisze o tem ks. Ciecierski:*)

*) Carat.

**) „Ostatni.“

*) Ksiądz Ciecierski, b. przeor dominikanów wileńskich, wygnaniec do Syberyi z roku 1797 — skazany pierwotnie wyrokiem senatu — za należenie do tow. patryotycznego na Litwie — „na odsądzenie od czci, szlachectwa, majątku, godności, a nawet imienia“ a także „na knutowanie pod pręgierzem, na ocechowanie lica, na wydarcie nozdrzów i najcięższe w kopalniach sybirskich roboty“. Wyrok ten następnie został znacznie przez Pawła I. złagodzony. prz. aut.

„Bez ksiąg i zatrudnienia czas mnie szedł powoli. Postrzegłem koło domu kilka kamieni szczególnych, przeglądałem one z ciekawością.

Jeden był ochra ołowiano — srebrna, kwarcowemi kryształikami mocno nasypana. Drugi był chalcedon w paski. To były moje księgi, nie pominąłem w nich najmniejszej linii, którejbym nie uważał. Zaraz mi przynosili nasi wspóstróżowie inne kamienie. W samej rzeczy ta część nauki tak mnie weseliła, że znaczną we mnie sprawiła spokojność. Kamieniami różnemi rznąłem po oknach, miałem więc i rodzaj pióra. Popisałem moje myśli po każdej szybie. Ktokolwiek kiedy by się zdarzył, co umieć będzie czytać po polsku, ten mój stan i sytuacyą umysłu tamtego czasu wyczyta z wyrzniętych na szybie liter. Kontent byłem, że nikt czytać nie może moim językiem, łatwiej mnie było kreślić i wyrazy czułe na mój los narzekające."*)

„Książek lekkiej treści nie posiadał — tak pisze o Pawle Szczerbinie Wacław Sieroszewski — a te które przywiózł dawno już był przeczytał; pragnął jednak czegoś, coby, zająwszy wyobraźnię, odwróciło uwagę jego od dolegliwości obecnej chwili. Wypadkiem z paczki dawniej zniszczonych gazet znalazł ocalały jakiś kawałek ogłoszeń i pochylony przed ogniem, odczytywał z chorobliwą ciekawością: „Potrzebna panna do ubierania kapeluszy. Magazyn Nr. 15, Niecała. — Farby, lakiery, pokosty polecają... — Parowa maszyna o sile pięciu koni..."**) i t. d. (d. c. n.)

*) Pamiętnik Księdza Ciecierskiego. Lwów 1865 str. 185.

**) Wacław Sieroszewski: „Na kresach lasów str. 359.„



RES.

WYCHODZTWO POLSKIE Z ZABORU PRUSKIEGO.

(*Józef Freilich*: Polskie wychodźtwo zarobkowe, w obwodzie przemysłowem westfalsko-nadreńskim." Str. 58. Kraków 1911).

Na zachodzie Niemiec, w obwodzie rzeki Ruhry, w przemysłowej Westfalii i Nadrenii utworzyło się poważne skupienie emigracyi polskiej z zaboru pruskiego. W piśmiennictwie polskiem, ile wiemy nie było dotychczas pracy, któraby dawała ścisły i dokładny obraz tej społeczności polskiej robotniczej, od łona macierzystego kraju oderwanej. Brak ten wypełnia p. Józef Frejlich cenną pracą swoją, stanowiącą odbitkę z „Czasopisma prawniczego i ekonomicznego."

Fala emigracyjna polska płynie do Westfalii i Nadrenii z zaboru pruskiego, głównie z Prus Wschodnich i Zachodnich, oraz z Poznańskiego, w mniejszym stopniu — z górnego Śląska; z państwa austryackiego i rosyjskiego niewielu tylko wychodźców Polaków dąży do kopalń i hut westfalskich i nadreńskich. Jest to tedy wychodźtwo w obrębie państwa niemieckiego. Wychodźtwo to stanowi lwią część całego wychodźtwa polskiego z Ziem polskich pod Prusakiem; emigracya bowiem do Ameryki jest nieznaczna. W r. 1907 8 naliczono Polaków, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych z państwa rosyjskiego 37.947, z państwa austryackiego 26,423, z państwa niemieckiego nie więcej jak 2.320. Zgodne to jest z powszechnem i znacznem zmniejszeniem się emigracyi z Niemiec do Stanów Zjednoczonych i świadczy to o rozkwicie przemysłu niemieckiego. który pochłania „nadmiar" sił roboczych z mało przemysłowych dzielnic państwa.

Emigracya zarobkowa polska do Westfalii i Nadrenii jest stosunkowo niedawnej daty: w r. 1861 spisano w Nadrenii 16-u Polaków, w Westfalii nie znaleziono ani jednego. Dopiero po r. 1871, wraz z wielkim rozwojem przemysłu w tych okolicach, poczyna się emigracya polska, a w r. 1890 widzimy znaczne jej skupienie. Naliczono tam wówczas Polaków 34.242. Szczególnie liczba ta wzrosła po r. 1890, gdyż w r. 1900 było w Westfalii i Nadrenii Polaków 134.395, w r. 1905 — 186.824. Jak zwykle wśród emigrantów, przeważają tu mężczyźni; jednak wzrastający procent kobiet świadczy o osiadaniu wychodźców na czas dłuższy, albo i na stałe. Procent ludności polskiej w stosunku do ogółu mieszkańców tych dzielnic wzrasta; w r. 1890 wynosił 1,06, w r. 1900 — 2,98, w r. 1910 — 3,56. Przeważna część emigrantów-Polaków pracuje w kopalniach węgla; w r. 1908 z ogólnej liczby górni-

ków zagłębia westfalsko-nadreńskiego, wynoszącej 351.532, Polaków było 130.079. Polacy tedy potężnie przyczyniają się znojną swą pracą do zbogacenia baronów kopalnianych zachodnich Niemiec. To też w kąt idzie szowinizm, gdy napływ Polaków zbogaca „patryotyczne“ kieszenie kapitalistów niemieckich.

Ogólna przyczyna emigracyi z zaboru pruskiego polega na dążeniu sił roboczych z przeważnie rolniczych, mało przemysłowych dzielnic do środków przemysłowych, dokąd wabią lepsze zarobki. W zab. pruskim jednak oddziaływa, potęgując emigracyę, inna przyczyna, natury politycznej, mianowicie hakatystyczna polityka rządowa. Józef Frejlich słusznie zwraca uwagę na wzrost emigracyi pod wpływem działalności komisyi kolonizacyjnej. Chłop polski podwójnie jest pokrzywdzony: z jednej strony grunta, nabywane przez komisyę, stanowią monopol przybyszów niemieckich, z drugiej zaś, z winy owej komisyi, ziemia wogóle niezmiernie drożeje. Utrudnia to wielce parcelacyę — i ubogi chłop, który wyżyć nie może na swoim zagonie, szukać musi zarobków na obczyźnie, aby często za pieniądze uciułane nabywać później grunta w kraju. Zarobki tedy westfalsko-nadreńskie przyczyniają się niemało do utrzymania ziemi w rękach chłopa polskiego.

W drugiej części swej pracy Józef Frejlich opisuje życie społeczno-polityczne emigrantów. Już dość wcześnie zaczęły się wśród nich tworzyć stowarzyszenia katolickie, całkowicie pod wpływem księży niemieckich pozostające. Bardziej polski charakter stowarzyszenia te przybrały pod wpływem ks. Lisa; wzrosła znacznie ich liczba, ale nie zmienił się zgoła ich klerykalny charakter i poddaństwo polityczne w stosunku do centrum. Ks. Lis założył w r. 1890 pismo „Wiarus polski“, ale władza duchowna podejrzliwie patrzała na wzmagającą się polskość, chociażby w centrowym duchu, i zmusiła ks. Lisa do usunięcia się. Prąd jednak nie osłabł, wzrastała siła organizacyjna polskości, niestety, w jaskrawo-klerykalnym kierunku idąca. W r. 1909 w procesyi podczas kongresu eucharystycznego w Kolonii brało udział około 200 stowarzyszeń polsko-katolickich z Westfalii i Nadrenii.

Politycznie do pewnego stopnia wyodrębniono się od centrum, tworząc w r. 1898 osobną organizacyę wyborczą polską, wchodzącą w skład ogólnej na całe Niemcy polskiej organizacyi wyborczej, na której czele stoi Centralny Komitet wyborczy w Poznaniu. Niestety cała ta masa robotnicza chodzi na pasku klerykalno-Kołopolskim. Dodamy tu zarazem, że 12. stycznia 1912 na „kandydata“ polskiego, Józefa Chociszewskiego, którego postawiono dla „demonstracyi“, padło w Westfalii i Nadrenii 40.138 głosów.

Prócz organizacyi wyborczej i stowarzyszeń kościelnych, istnieją jeszcze liczne gniazda sokolskie, koła śpiewackie, stowarzyszenia młodzieży. Oganizacya P. P. S. w Westfalii i Nadrenii jest słaba: w 10 towarzystwach socyalistycznych zorganizowanych jest 300 wychodźców.

Emigracya polska utworzyła również dość silną organizacyę zawodową. „Zjednoczenie zawodowe polskie“ powstało w r. 1902, a w r. 1908 i 1909 połączyło się z pokrewnemi organizacyami w Poznańskiem i na Górnym Śląsku. J. Frejlich przypuszczcza, że liczy ono członków 50 tys., z czego górników 35 tys., hutników 5 tys., rzemieślników 10 tys. Do Związku centralnego (socyalistycznego) górników, należy w Westfalii i Nadrenii przeszło 3 tys. Polaków, dla których Związek wydaje pismo tygodniowe „Gazetę Górniczą“ w Bochum.

Wodzenie robotników na pasku klerykalno-szlacheckim ma ten skutek pod względem społecznym, że emigranci polscy przyczyniają się pośrednio do wzmacniania centrum; znaczna bowiem ich część przy wyborach głównych, lub ściślejszych oddaje głos centrowcom, albo wstrzymuje się od głosowania, osłabiając w ten sposób siłę partyi robotniczej. Pod względem narodowym ma to ten skutek, że zraża i odstręcza Mazurów-ewangielików, którzy stanowią około 25 procent wychodźtwa. Klerykalizm polsko-katolicki niemało przyczynia się do tego, że Mazury uważają się za „Prusaków“ i staranie odróżniają się od „Polaków...“





NAD MOGIŁĄ.

W ostatni dzień ubiegłego roku po kilkuletniej wyczerpującej chorobie rozstała się z życiem w Warszawie współredaktorka miesięcznika „Sfinks", tłómaczka wielu dzieł naukowych i współpracowniczka pism, zasłużona przy tem działaczka na polu społecznem i pedagogicznem, Marya Bukowińska.

Śmierć zmarłej w 38 roku życia działaczki przyjęto z głębokim bólem wśród bliższych znajomych, ze szczerym zaś żalem wieść o niej przyjęli ci wszyscy, co choć z daleka znali jej życie i prace.

Zmarła bowiem była człowiekiem niezwykłym w całem tego słowa znaczeniu. Rzewna dobroć i słodycz charakteru przedziwnie harmonizowały się w niej z nieugiętością przekonań i wybitną indywidualną umysłowością, bezwzględna zaś, nie znająca żadnych kompromisów etyczność, oraz kryształowa czystość charakteru cechowały Bukowińską na każdym kroku.

Była to przytem wybitna postać tego pokolenia inteligencyi naszej, które wystąpiło koło roku 1887 i bezpośrednio żyło i działało w ciągu ostatniego 25-cio lecia. W zaborze rosyjskim pokolenie to miało do wyboru, albo w życiu płazem przewinąć się wśród powszechnego zastoju ideowego i kołtuństwa ogółu, lub też całą mocą wziąć się do pracy, w warunkach ciężkich, z przekonaniem, że może... rozdziobią nas kruki — wrony — nieść twardą służbę z myślą o dalekiem jutrze, które dla wielu „Jutrem" Struga być miało...

Bukowińska wybrała to drugie życie i poszła w „twardą" służbę ukochanych przez siebie całą duszą ideałów, pozostając wierną tej służbie do chwili zgonu niemal...

Jeszcze jako uczennica gimnazyum Radomskiego, Bukowińska zajęła wybitne stanowisko w ideowym ruchu młodzieży ówczesnej, obejmującym szkoły zaboru rosyjskiego, stwarzając wraz z kilkoma kolegami i koleżankami kółko radomskie. Kółko to następnie miało stać się zalążkiem potężnego ruchu politycznego i społecznego w Radomskiem i wydać sporo działaczy na wszystkich polach życia narodowego ze szczególnym uwzględnieniem ruchu rewolucyjnego, gdzie szereg radomiaków rozpoczął Michał Luśnia-Krauz, a zakończył, jak dotąd, Józef Montwiłł-Mirecki. Z kółka utworzonego wówczas wyłoniły się następnie — niepożyty mimo heroiczne wysiłki władzy szkolnej i żandarmeryi, ruch ideowy młodzieży i pierwsza od czasów Filipiny Płaskowickiej w Królestwie chłopska organizacya socyalistyczna, stworzona w r. 1891 przez Krauza i istniejąca dotąd, a także zasłużony w dziejach rewolucyi Radomski Komitet Robotniczy, utworzony w 1894 r. przez późniejszą ofiarę cytadeli, zmarłego tragicznie Antoniego Rokitę.

Bukowińskiej, przedewszystkiem zaś zmarłemu Kazimierzowi Krauzowi Kółko Radomskie zawdzięczało ideologię swoją, zrodzoną na długo przed programem P. P. S., stworzenie syntezy patryotyzmu rewolucyjnego z socyalizmem. Dzięki tej ideologii nie wyjałowiło się ono na wzór większości kółek ówczesnych i stało zawsze na posterunku ideowym.

Po kilkuletniej pracy wśród młodzieży radomskiej, Bukowińska, przełamawszy opór rodziny i oburzenie kołtuństwa jedna, jako pierwsza studentka z Radomia pojechała na uniwersytet do Genewy, gdzie obok studyów przyjmuje żywy udział w ówczesnym ideowym życiu młodzieży.

Po powrocie do kraju wychodzi za mąż i ciężką pracą literacką i nauczycielską zarabia na życie w ciągu lat kilku... Równocześnie bierze czynny udział w codziennej pracy oświatowej, oraz jako jedna z najczynniejszych pracowniczek Towarzystwa pomocy więźniom politycznym. Duszą całą przywiązana do programu P. P. S. zgodnego z dawną jej ideologią, pozostaje w związku z partyą, jako sympatyczka i oddaje konspiracyi cenne usługi, aczkolwiek warunki domowe i usposobienie nie zawsze pozwalały na pracę w szeregach konspiracyi robotniczej...

Jako literatka, Bukowińska prowadziła dział krytyczny w postępowych pismach, redagowała „Sfinksa", do którego często pisywała. Jako tłómaczka przyswoiła literaturze polskiej kilka dzieł, odrodzonemu zaś szkolnictwu polskiemu, wyborną historyę powszechną Karajewa.

Nie ustawała też w pracy mimo ciężkiej kilkuletniej choroby niemal do chwili zgonu.

Cześć pamięci dzielnej kobiety i wybitnego o kryształowym sercu człowieka!



SILVA RERUM.

REAKCYA WALCZY Z „PAJDOKRACYĄ“. Prasa konserwatywna warszawska, a więc przedewszystkiem „Słowo“, a za niem „Kurjer“, zwraca się z apelem do prasy postępowej, aby trzymała w karbach „swoją“ młodzież i powiedziała jej kilka słów prawdy. Skarcona ma być młodzież za niesłychane zuchwalstwo. Bo oto, jak widać ze sprawozdań zjazdowych „Filaretów“ i „Związku“, oba te odłamy akademickiej młodzieży potępiły w swych uchwałach politykę Koła polskiego w Dumie w sprawie chełmskiej. Czyż ci ludzie znają się na tajnikach „wyższej“ dyplomacyi? Czyż potrzeba komu się tłomaczyć z tego, dla czego w Dumie prowadzi się politykę, urągającą wprost bólom całego narodu. Gdy w powieści Weyssenhoffa Dołęga zapytuje, co nakoniec będzie uczynione dla kraju, odpowiada mu dumnie Zbąski, patryarcha narodu: „Zawcześnie jeszcze na moją odpowiedź“. A oto teraz młodzież okazuje się jeszcze mniej dyskretną i arkanów dyplomatycznych świadomą, niż sam ów Dołęga. Ze stanowiska Zbąskich wychodząc, ma się tedy zupełną racyę, gromiąc młodzież, która zrozumieć nie może, że maluczko, a za zaprzeczenie się Chełmszczyzny deszcz łask na Polskę spadnie. Co tu jednak ma do czynienia prasa postępowa? Czyż ma adwokatować Jarońskim, a młodzieży czynić zarzuty za to, że wypowiada głośno oburzenie z powodu tego, co oburza lepszą część społeczeństwa? Prasa postępowa, gdy chodzi o obronę narodowej godności, tak ciężko poniewieranej przez karyerowiczów politycznych, idzie ręka w rękę z młodzieżą postępową i powzięte przez nią uchwały uważa za spełnienie obywatelskiego obowiązku. Młodzież polska nie przedstawia podobnego materyału na „kamelotów królewskich“ i dlatego nie cieszy się łaskami naszej reakcyi, która ręce załamuje z powodu rozwijającej się pajdokracyi. Od zaznaczenia swego stanowiska w sprawach politycznych do pajdokracyi bardzo jeszcze daleko, a zresztą nawet rządy pajdokracyi nie wyrządziłyby społeczeństwu polskiemu większej szkody, niż doznaje ono z powodu gospodarki sfer politycznych, od których opinia publiczna dawno się odwróciła ze wstrętem. Tym, którzy w chwili pierwszego wystąpienia Koła polskiego w I. Dumie, gdy — po raz pierwszy od rozbiorów — przedstawiciele narodu polskiego stanęli wobec przedstawicieli rosyjskich, nie umieli się zdobyć na nic lepszego, jak historyczny aforyzm o „karetkach“, którzy poniewierali godność Polaka i nawet teraz, w tragicznych dla nas momentach dziejowych, to czynią, nie przystoi występować w rolach prokuratorów wobec pełnych zapału i wiary w siebie uchwał młodzieży. *(K.)*

Z POLEMIK WARSZAWSKICH. (St. G.) W ostatniej dekadzie „Myśli Niepodległej“ p. W. Rzymowski zastanawia się nad przyczynami słabości i upadku instytucyi postępowych w Warszawie i polemizuje ze zdaniem, iż przyczyny te tkwią w nieudolności i nieodpowiedności jednostek powołanych do kierowania temi instytucyami, a właściwie „wiodących je ku ruinie a programy ku zagładzie“. „Demokratów postępowych i wolnomyślnyah, mówi p. R. jeśli sądzić po liczbie odbiorców i czytelników prasy lewicowej, musi być w Polsce kilkadziesiąt, może nawet kilkaset tysięcy (No, no, no! P r z y p. R e d.) Gdzie tedy byli ci ludzie, demokraci, postępowcy, wolnomyśliciele, solidaryści, gdzie oni byli wówczas, gdy kierownicy... czynili pierwszy krok ku zagładzie programu?“ Dlaczego nie przyszli go bronić?

Na te pytania, których naiwność idzie w zawody ze śmiesznością snu o kilkuset tysiącach odbiorców i czytelników prasy lewicowej (bo i gdzie ona zresztą jest w Warszawie — obecnie?) p. Rzymowski sam łatwo mógłby znaleźć odpowiedź. Wie on zapewno, że gdy ciało jakieś, choćby nawet zbiorowe, rozkładać się zaczyna, wydaje pewien specyficzny zapach, który odstrasza, ostrzega jednostki obdarzone jakiemtakiem powonieniem, by się nie zbliżały, a zbliżywszy się, uciekały co prędzej

P. Rzymowski rozumuje dalej: jeśli kierownictwo pewnych instytucyi znajduje się w rękach ludzi niewłaściwych, bez talentu, to tem łatwiej ich ze stanowiska kierowniczego usunąć. Należałoby żądać, by przyszli nowi ludzie i zrobili ład wśród rzeszy postępowców warszawskich...

Bez wątpienia i to byłoby też możliwe, choć jest nader trudne z przyczyn, które podkreśliłem wyżej. Ale czy ten obowiązek sanacyi nie spada raczej i przedewszystkiem na jednostki, które już tam tkwią i zadawalają się jedynie tem, by być jednostką w liczbie, śnić sen o potędze stutysięcznej rzeszy nieznanych towarzyszy i narzekać pokątnie na zbyt wielką ilość zer rwących się na czoło.

I ten jednak zarzut zmiększyć trzeba dla sprawiedliwości, pewne bowiem środowiska i właśnie te które żyją w zepsutej atmosferze, zabójczy wzrost wywierają wpływ na najsilniejsze nawet organizmy.

Oto naprzykład samego p. Rzymowskiego trudno mi było poznać z artykułu, o którym tu mowa. Od pewnego czasu pozwala on sobie na wybryki niczem nieusprawiedliwione, a słowa jego tracą dawną jędrność i powagę, i nabierają jakiejś adwokackiej sprawności w obronie klienta i zdolności do układów na wszystkie strony; nawet styl jego zmiękł jakoś i coraz bardziej brak mu sprężystości i siły w akcentowaniu.

Ha, nie wszyscy mogą być Almanzorami. — Inną całkiem polemikę prowadzi w Warszawie pan Ignacy Karol hrabia Korwin Milewski, który publicznie ogłosił się „rosyaninem polskiego pochodzenia“ i otwarcie proklamuje swą rosyjską wiernopoddańczość i nienawiść ku inorodcom. Wystąpienia p hrabiego wywołały protesty i oburzenie całej bez wyjątku prasy warszawskiej, p. hrabia postanowił więc „odłajać się.“

Oto kilka kwiatów z tej filipiki, w jeden związane bukiecik: „A więc do was pismaków polskich, wileńskich coście jeno żydziaki, przechrzty, szwaby i przebłędy, siostrzeńce złodziejów, a więc złodzieje złodziejowicze, którzy szkalujecie i wymyślacie jak pijani stróże Litewskiego pana, mówię, że ten chlew polskich gazeciarzy, który wśród fetoru fajek i nieumytych kolejów śmierdzi po norach redaktorskich lepiej kiedyś jeszcze odłaję a wasze wpływy pójdą na psy.“ A oto jak się pan hrabia rosprawia imiennie z innym adwersarzem: „kazałem mu powiedzieć, że, o nim pisząc, będę zawsze drukował wyraz dureń przez D wielkie i O kreskowane, bo to nędzne śmierdziusiątko nie tylko wyobraziło sobie, że może się ze mną pod względem wiedzy i wykształcenia równać, ale że potrafi nawet przewodniczyć innym z nad Wisły współpsubratom i współmałpom prasowym.“

Na innem miejscu zapewnia p. hrabia, że jest do szpiku kości przejęty kulturą, no i daje tego rzeczywiście niezbite dowody.

Z RAPTULARZA.

WYBORY ŚCIŚLEJSZE do parlamentu Rzeszy osłabiły jeszcze bardziej blok czarno-błękitny. Konserwatyści zdołali wprawdzie przeprowadzić dotąd 41 posłów (głównie dzięki liberałom obu odłamów, którzy pierwszego dnia ścisłych wyborów wyratowali aż 16 błękitnych), ale obie ich filialne organizacye wyszły zupełnie pobite. Partya państwowa zredukowaną została z 25 na 12 posłów, antysemici z 21 na 14. Obie te grupy nie mają już żadnych szans powetowania swoich strat w trzecim dniu wyborów. Centrum wyszło ilościowo mało osłabione, utraciło jednak kilka ważnych placówek, przedewszystkiem Kolonię, gdzie padł jeden z głównych jego wodzów Trimborn pokonany przez socyalistę. Dość dobrze wypadły wybory ścisłe dla wolnomyślnych, którzy w znacznej części powetowali swą porażkę przy wyborach głównych. Gorzej wyszli nacyonalliberali mimo sojuszów zawieranych na prawo i lewo z wszystkimi prawie partyami. Niebywale dobrze wypadły wybory dla socyalistów, którzy do 64 mandatów zdobytych 12 stycznia dołączyli 35 w obu wyborach ścisłych. Do trzecich wyborów stają również z silnemi szansami. Wybory ścisłe nie przyniosły kołu polskiemu zbyt świetnych sukcesów. Wybrano dotąd tylko Sosińskiego przeciw socyaliście Biniszkiewiczowi w Katowicach i Dąbka przeciw centrowcowi w Bytomiu. Straciło natomiast Koło na rzecz centrowców Sliwice. W trzecim dniu uczestniczy Koło w kilku okręgach z których jeden (Chłapowskiego) jest całkiem pewny, a dwa dalsze możliwe do zdobycia. Razem zasiadać będzie w Reichstagu 17—19 Polaków.

W TURCYI zarządził rząd nowe wybory. Odbywają się one na podstawie ustawy z 1876 i są powszechne, ale pośrednie. Walka toczyć się będzie między młodoturkami,

a unią liberalną sprzymierzoną z nacyonalistami greckimi, bułgarskimi i arabskimi.

WOJNA WŁOSKA-TURECKA nie przyniosła dotąd ważnych zmian. Włosi opanowali ostatecznie oazę Sargaresz na południe od Trypolisu, mieli jednak równocześnie ponieść ciężką porażkę pod Derną. Równocześnie zawiesili Włosi blokadę nad tureckimi brzegami morza Czerwonego.

Z powodu naruszenia prawa, międzynarodowego przez Włochów popadli ci ostatni w ostry konflikt z Francyą. Włoskie okręty wojenne pojmały mianowicie francuskie statki pocztowe „Cortage“ i „Manouba“ na pokładzie których jechała turecka ekspedycya czerwonego krzyża i francuski latawiec mający odbywać wzloty w Tunisie. Komendant „Cartage“ wydał Włochom tureckich pasażerów na podstawie sfałszowanej depeszy paryskiego ministeryum. Jaskrawe naruszenie prawa wywołało takie oburzenie we Francyi, że ministeryum musiało pod naciskiem opinii zarządać od Włochów w ostrej formie zadość uczynienia.

W CHINACH zapowiedziana abdykacya dynastyi nie nastąpiła. Młodsi książęta mandżurscy wichrzą przeciw Juanszikajowi, do którego i rewolucyoniści odnoszą się z najwyższem niedowierzaniem i niechęcią. Z kół tych wyszedł zamach dynamitowy na kanclerza, nieudany zresztą. Rewulucyoniści przesuwają ustawicznie wojska swoje na północ.

W KROACYI mianowany został banem na miejsce Tomasicza Cuwaj, kreatura eksbana Raucha.

BĘDZIESZ CZCIŁ NAMIESTNIKI GALICYJSKIE. (r-s) P. prof. Milewski, poseł sejmowy, z kuryi wielkiej własności krakowskiej, naruszył najświętsze przykazanie stańczykowskie: począł frondować przeciwko polityce namiestnika. Krakowscy panowie mogą wybaczyć wiele rzeczy, ale nieposłuszeństwo namiestnikowi jest grzechem nie do darowania. Prof. Milewski zbliżył się do kliki podolskiej i kliki n.-deckiej — powód wystarczający, żeby go klika krakowska zmusiła do złożenia mandatu. P. Milewski szukać musi gdzieindziej wielkiej własności, skłonnej do obdarzenia go mandatem.

Na naradzie obszarników krakowskich, gdzie sądzono p. Milewskiego, wygłaszano wielkie mowy polityczne, wdawano się w głębokie dociekania, czem jest polityka, partyjność, konserwatyzm. W cytatach i frazesach topiono cały właściwy sens tego zajścia. sprowadzający się do walki klik. Szczery był jednak prof. Morawski, powiadając, że zwalczanie namiestnika to „luksus“, na który nie możemy sobie pozwolić. Szczery był również namiestnik Bobrzyński, który oświadczył, że konserwatyści zawarli sojusz z ludowcami, ponieważ ludowcy obowiązali się poprzeć 19 kandydatur konserwatywnych... O innych zobowiązaniach ludowców Bobrzyński przemilczał...

Książki nadesłane:

F. Lazarusówna. Złoty pokoik. Nakładem wydawnictwa „Życie“ w Krakowie.

Juliusz Kaden. Zawody. Spółka Nakładowa „Książka“ Kraków.

Major C. M. De Gruyther. Zasady taktyki. Z trzeciego wydania angielskiego, tłumaczył E. Elzenberg. Kraków. Wydawn. „Życie“.

I. K. Iłłakowicz. Ikarowe loty. Spółka nakład. „Książka“. Kraków.

Zofia Rogoszówna. Dzieciany Dwór. Wydanie drugie. Spółka nakład. „Książka“. Kraków.

Stanisława Okołowiczówna. Ulicznicy. Nakładem wydawnictwa „Życie“. Kraków.

Andrzej Galica. Robert Szporn. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków.

Andrzej Strug. Ojcowie nasi. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków.

SKŁADKI DLA WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH.

Pomoc z Olkusza 10 rs. 50 kop., Józef 1 1 rs., Konradek 50 kop., Marya S. 50 kop., Marya Kr. 1 rs., Stan. Cis. 50 kop., Cudak i Stointałł 1 rs., Dziwaczka 1 rs., Mira 50 kop., Ada 30 kop., Ira 50 kop., A. D. 50 kop., H. D. 25 kop., Henryk Sr. 50 kop., Baltazarówna 50 kop., razem dziewiętnaście rubli, pięć kopiejek, bezimiennie dwie korony. Przesłane na ręce „Polskiego Towarzystwa dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym we Lwowie“.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa.	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY". LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".